Nr. 28. Lwów, dnia 19. sierpnia 1900. **Tom I.**

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA **Lwów, pl. Marjacki 6.**

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony

ZE STAREJ BAJKI.

Grajcie mi, skrzypki, wesoło, dziarsko, z ochotą!...

Niech mi krew prędzej w żyłach pobiegnie, serce mocniej zabije, niech dusza się rozhasa i o Bożym świecie zapomni!

Dalejże, skrzypki moje, a raźno!... Cóż to?... Nie słuchacie mię dzisiaj?...

Ha, prawda!... Wyście mnie nigdy nie słuchały; śpiewałyście to tylko, co wam struny wydrżały, co wam smyczek wyszeptał, co skryte gdzieś było głęboko, daleko w pudle waszem, a mnie się biednemu zdawało, że wy moje pieśni śpiewacie.

Starszeście odemnie, skrzypki moje!...

W niejednych byłyście rękach; niejednych słuchałyście zwierzeń, niejednym dumom skrytym wtórowałyście pieśnią, radościom i smutkom niejednym.

I kiedy was biorę do rąk i przytulę do siebie, zdaje mi się nieraz, że wy mi wysnuwacie nieznane jakieś melodje, pieśni, jakieś obce, dalekie, dźwięki dawno przebrzmiałe.

I słucham was wtedy, i dziwię się piosnkom waszym, i tęsknota mię porywa iść za głosem waszym w kraj jakiś świetlany, w kraj cudu...

. . . .

Pamiętam, raz byłem sam ze skrzypkami memi, daleki od świata, od ludzi...

Zaczęliśmy rozmowę naszą poufną, i tylko księżyc słuchał nas i podpatrywał przez okno, i srebrne jego promienie kładły się pieszczotliwie na skrzypki moje i na mnie.

I zdało mi się wtedy, że drgnęły skrzypki w mych rękach

Przed nami słała się droga prosta i jasna, wysrebrzona i wygładzona. Na końcu tej drogi, gdzieś hen! daleko, spokojny i cichy stał księżyc, ten sam, co zawsze, a jednak bardziej tajemniczy, bardziej nęcący i świecący światłem bardziej miękkiem i powłóczystem, niż zwykle.

Szliśmy przed siebie.

A nad nami ciemne błękity mrugały tysiącami gwiazd, a pod nami spało miasto szare, martwe, coraz to dalsze i mglistsze.

Szliśmy przed siebie.

I ogarnęły nas nagłe ciemności wielkie, bezbrzeżne.

I głos jakiś w ciemnościach spytał:

— Dokąd idziecie?...

— Idziemy w kraj daleki, w kraj cudu... W kraj, gdzie pieśni same dźwięczą w przestrzeni, gdzie światłość panuje bez słońca, gdzie radość płynie bez smutku, a tęsknota bez rozpaczy i żalu.

W kraj, gdzie duch zapomina o ciele i swobodny, wielki, ogarnia sobą przestworza; gdzie kocha i wierzy, i wie wszystko, i wszystko przeczuwa, i wszystko rozumie.

— W kraj ten idziemy! — odpowiedziały skrzypki za mnie i za siebie.

I szliśmy dalej, a głos nas pytał jeszcze:

— A czy wy wiecie, że droga w ten kraj ciernista i długa, boląca i koląca?

— Wiemy! — odrzekły znowu.

— A wiecie wy, że kto tam nie dojdzie, ten pozostaje zawieszony w przestrzeni, pomiędzy niebem i ziemią do końca żywota swego.

I nie masz dla niego ani rozkoszy i uciech ziemskich, ani radości i upojeń niebiańskich, tylko wieczna szarość i mrok. Wiecież wy to?

— Wiemy!

— A nie wiecie może, że kto raz do tego kraju dotrze; kto, choćby przez chwilę, będzie słuchał tych pieśni i będzie patrzał na to światło wielkie; kto raz tylko zaczerpnie w siebie tego czystego powietrza błękitów, ten już potem na ziemi żyć nie potrafi.

Bo ciemno mu będzie i ciasno, i duszno, i głucho.

Nie wiecie może?

— Wiemy! — rzekły skrzypki.

— Wiecie i nie lękacie się?

— Nie lękamy się, bo nie będzie nam gorzej, niż było, i ciaśniej nie będzie i ciemniej.

Ojczyzna nasza tam, w tym kraju świetlanym, lecz nie w mroku. Do niej tęsknota nas porywa, do niej lecą pieśni nasze: Idziemy do ojczyzny naszej...

Głos się roześmiał, rozdźwięczał drwiąco i rozwiał się w ciemnościach.

A my szliśmy dalej przed siebie.

Ciemności powoli rozstępować się zaczęły.

Przed nami wznosiła się góra wysoka, cała z kryształu.

A w pół góry stał zamek, opasany murem wielkim; wieżyce strzelały w niebo; strzelnice patrzały groźno czarnymi otworami swymi.

Poznałem go!

To zamek był zaklęty, ten z bajki.

Wiodła do niego droga stroma i ślizka, a po tej drodze kamienie leżały o kształtach ludzkich.

— Patrz — szeptały mi skrzypki do ucha — to są ci, którzy szli, lecz nie doszli.

Tam w zamku leży uśpiona królewna...

Szli ją budzić tchem własnym i życiem, lecz tchu im zbrakło po drodze, i życie w nich zamarło. Jedni sercem szli, a serce mieli wątłe i słabe; z trudnością i wysiłkiem wielkim pięli się w górę, aż zobaczyli podobnych sobie, skamieniałych po drodze

I siły im opadły ze strachu, nogi zdrętwiały, a serce ich własne bić przestało i stwardniało na kamień.

A inni szli tutaj, bo im się sprzykrzyło na ziemi; użyli tam wszystkiego, znali i widzieli wszystko; więc szli przed siebie, aby dalej, aby wyżej, po nowe wrażenia i myśli.

Aż, gdy doszli do połowy drogi, żal im się zrobiło porzuconej ziemi i spojrzeli na siebie.

I nie zobaczyli za sobą nic, bo nic nie byli zostawili.

Przed nimi droga wciąż szła stroma i ślizka, a cel był jeszcze daleki: stanęli i opuścili ręce.

Żal im było trudu. Więc pozostali na miejscu, a czas przemienił ich w bryły bez czucia.

— Idźmy tam — rzekłem do skrzypek, ściskając je silniej. — Idźmy tam, idźmy dalej jeszcze, wyżej, aż na sam szczyt Prowadźcie mnie, skrzypki moje, a żwawo!...

A one zaczęły dźwięczeć jakoś dziwnie, i tajemniczo, i cicho. I szeptem prawie mówiły do mnie:

— Pójdziemy, pójdziemy, chłopcze, ale do zamku tylko; tam dalej, wyżej droga nam nieznana. Zabłądziłybyśmy wraz z tobą.

Tam, po nad zamkiem, choćbyśmy ci śpiewały najpiękniejsze pieśni nasze, nie słyszałbyś ich i nie słuchał...

Bo tam króluje pieśń jedna, wielka, potężna i dźwięczna, pieśń wesela i radości, pieśń szczęścia, miłości i wiary.

A wszystkie pieśni, które ludzie snują, z niej są i do niej płyną. I niemasz ani czystszej od niej, ani doskonalszej, ani wspanialszej.

Tam, jeśli dojdziemy, już nie my ciebie, ale ty nas będziesz prowadził.

I będziemy posłuszne tobie, i twoje tylko sny i marzenia roznosić będziem po świecie...

— Lecz któż mnie tam zaprowadzi? Mówcie, skrzypki! Kto? — pytałem w gorączce.

A skrzypki moje szeptały mi coraz ciszej do ucha:

— W zamku, w zaklętym, królewna śpi...

. . . .

Ech!... Marnujecie mi młodość moją, skrzypki, tą gwarą waszą. Anim ja do pracy, ani do zabawy i śmiechu. Ciąglebym tylko słuchał i słuchał i patrzał wdal siną.

I poszedłbym teraz po świecie, i szukałbym, czyli gdzie nie znajdę góry wielkiej, kryształowej i zaklętego zamku w pół góry, a w nim uśpionej królewny.

Poszlibyśmy tam, do niej, i wybyście ją zbudziły graniem waszem.

I wstałaby do nas i wyciągnęła ręce uśmiechnięta.

A usta miałaby, jak korale; oczy, jako niebo błękitne, a jak toń głębokie; a włosy jej spadałyby do kolan długie, złociste, ciężkie.

Wstałaby ze snu różowa i rzekła:

— Obudziłeś mię, królewiczu mój, obudziłeś do światła, do ciepła, do życia. Chodź! Teraz zaprowadzę cię, gdzie sameś nie doszedł, gdzie skrzypki cię nie doprowadziły. Zaprowadzę cię tam, gdzie pieśni same dźwięczą w przestrzeni, gdzie światłość panuje bez słońca, gdzie radość płynie bez smutku, tęsknota bez rozpaczy i żalu, a szczęście bez granic.

Chodź ze mną!...

. . . .

A może, skrzypki, takiej góry nie ma na świecie? Możeście łudziły mnie tylko, możeście igrały ze mną, jak z dzieckiem?...

Ha!... Gdybym to wiedział, gdybym wiedział, skrzypki, że w pieśniach waszych obłuda tylko i mary, porwałbym was i strzaskał o byle kamień przydrożny...

. . . .

Hej! grajcie mi, skrzypki, wesoło!...

Józef Puzyna.

BLANKA HALICKA.

SZKIC.

Janina Zb-ska.

(Ciąg dalszy).

I odtąd codziennie prawie widywano Jana w Zalesieckiem dworze.

Przychodził zwykle wieczorem, po ukończonych zajęciach służbowych, i zawsze, gdy zmrok zapadał, Helena z bijącem sercem stała już przy oknie, i patrząc na śniegiem pokrytą drogę wyglądała przybycia jego.

Codzienne widywanie go rozpłomieniło jeszcze bardziej jej uczucie.

Dotąd, kochała go jak sen, jak marzenie, urocze niedościgłe — teraz, gdy godzinami całymi z nim rozmawiać mogła, wpatrywać się w tę twarz kochaną, słuchać jego głosu, stał się jej jeszcze droższym, bliższym i bardziej umiłowanym.

Dawniej, kochała więcej wyobraźnią, teraz może dopiero prawdziwie ukochała sercem.

Wieczorami Rożyńscy z babką staruszką i poczciwym panem Antonim grywali zwykle wista, a panny z Janem i Kazimierzem, który rozumie się także spędzał tu wszystkie wieczory, szły zwykle do salonu, trochę gawędzić, trochę grać i śpiewać.

Z porządku rzeczy wynikało, że narzeczeni zawsze wkrótce wynaleźli sobie jakiś cichy kącik, gdzieby swobodnie gwarzyć i gruchać mogli, albo Mimi grała na fortepianie, a Kazimierz siedział obok niej i szeptali ze sobą nieskończenie

Wtedy Helena zostawała z Janem, i całemi długiemi wieczorami zimowemi rozmawiali ze sobą poufnie, serdecznie, jak dwoje starych przyjaciół.

On czuł potrzebę mówienia z kimś o swoim smutku, o tem zniechęceniu do życia, które mu świat cały obojętnym czyniło, i choć rozumie się, nie mógł z nią mówić o całem swem bolesnem przejściu, jednak wywnętrzał przed nią swoją duszę zmęczoną i chorą, a ona słuchała z taką dobrocią i z takiem niezmiernem współczuciem.

Wszyscy domowi uważali dobrze ich przyjaźń i długie rozmowy, żartowano z nich nieraz, szczególniej wuj Rożyński nieraz tem prześladował Helenę.

— Słuchaj, ty, kozo — mówił jej — zdaje mi się że ty nie na żarty zamyślasz być „balsamem pociechy“ „dla tego desperata“. Już ja tam nie wierzę w przyjaźń między młodym, ładnym chłopcem i taką smarkulą.

Helena zawsze wtedy spiekła okropnego raka, i taka zła była na siebie o to, że się zaczerwieniła.

Ale obracała to zawsze w żart, i odpowiadała zwykle wujowi:

— Niech mi wujaszek da spokój, bo wie przecież, że ja chcę zostać starą panną

Ale choć nieraz żartowano z tego, nikomu na

prawdę nie przyszło na myśl, aby ta młoda, wesoła jak ptak dziewczyna miała zakochać się w tym smutnym, złamanym człowieku.

Gdy Jan czasem przychodził więcej zgnębiony i rozdrażniony, Helena, instynktem kochającej kobiety unikała w rozmowie wszelkich przedmiotów, któreby go wzruszać lub rozstrajać mogły.

Nieraz, chcąc go rozweselić, dokazywała jak dziecko; śpiewała mu nieraz godzinami, jak skowronek na wiosnę, bo wiedziała, że on śpiew jej lubi

Lub czasem, gdy widziała, że gorzej niż zwykle wygląda i bardziej zmęczony, wtedy niby to żartem wyprawiała go napowrót do domu zaraz po kolacji, aby się wcześniej położył, bo niezdrów był ciągle i bardzo zdenerwowany.

Jednem słowem, jak dobry duch czuwała wciąż nad nim.

On widział jej troskliwość i szczerą życzliwość, lecz kładł to tylko na karb przyjaźni i dobrego jej serca; nie domyślał się że w jej sercu obraz jego już był wyryty na wieki.

Zbyt był zajęty jedną myślą, zbyt pogrążony w swoim smutku, aby spostrzedz całą prawdę

I tak czas płynął cicho i spokojnie; białe, śnieżyste dnie zimy upływały jednostajnie jeden za drugim, a im dobrze było razem, i coraz więcej zacieśniał się węzeł ich serdecznej, szczerej przyjaźni.

III

Ale znaleźli się tacy, którym ta przyjaźń była bardzo niepożądaną

Od przyjazdu Heleny, dwaj sąsiedzi byli częstymi gośćmi w Zalesiu: Warski i Starzycki

Obaj zaczęli nadskakiwać jej coraz bardziej i prawić grzeczności przy każdej sposobności, i krzywo patrzeć jeden na drugiego; nie mieli jednak się o co waśnić, bo ona tak dla jednego jak i dla drugiego tak zimną była i nieprzystępną, że aż niegrzeczną prawie

Te starania i grzeczności okazywane jej wobec tego, którego tak kochała, gniewały ją tylko i drażniły i obaj młodzi ludzie musieli przyznać sobie w głębi duszy, że nie tak łatwo im pójdzie, jak sobie to z początku obiecywali.

Starzycki, bardzo młody jeszcze, trochę nieśmiały, mniej był pewnym siebie, i widząc niechęć panny, potrafił się na czas usunąć, nim zaczęto mówić, że dostał kosza; nie wyrzekł się jednak całkiem nadziei, czekał tylko jakiej lepszej sposobności aby się znów do Heleny zbliżyć

Warski zaś, zaufany w swój majątek i opinią pierwszej w okolicy partji, tę oziębłość panny brał tylko za droczenie się, czy też niemal za odrębny rodzaj kokieterji.

Nie wyobrażał sobie, aby była w ogóle kobieta, która mogłaby odmówić mu swej ręki, więc też, dzięki temu dobremu wyobrażeniu o swojej osobie, nie tracił wcale fantazji, jeździł do Zalesia coraz częściej i coraz wybitniej występował w roli starającego.

Panna podobała mu się, bo była przystojna, dowcipna i oryginalna tą swoją śmiałą otwartością i zupełnym brakiem próżności i zalotności kobiecej, a nadewszystko, bardzo mu przypadał do smaku jej pokaźny posag.

Rożyńscy widzieli dobrze, że on stara się o Helenę, i wcale przychylnie patrzyli na to.

Był bogaty, dobry i praktyczny gospodarz i jak każda dobra partja, miał opinię rozumnego i porządnego człowieka; rzeczywiście porządnym był o tyle, że nie zrobił dotąd nic w życiu nieuczciwego, a rozumu miał właśnie tyle, ile było trzeba aby nie być rażąco niemądrym w towarzystwie.

Na wszelkie wzmianki wuja i ciotki o nim, Helena odpowiadała drwinami o jego osobie i nieznośnej pewności siebie, i Jan nieraz słyszał, jak wyśmiewała zarozumiałego „epuzera"; i w głębi duszy rad był z tego, bo polubił ją szczerze i żałby mu jej było dla takiego Warskiego

Tamten znów widział dobrze przyjacielski, poufały stosunek Heleny z Zatorskim, nie mógł nie uważać, że za każdym jego przyjazdem do Zalesia, ona zawsze wiele więcej rozmawia z tamtym jak z nim, i mimo całej pewności siebie, zaczął w końcu bardzo się lękać, żeby mu przystojny porucznik nie sprzątnął z przed nosa pożądanej zdobyczy.

Biedna pani Starzycka tymczasem była w rozpaczy; wszystkie jej rachuby odrazu zawiodły.

Nietylko nie udało się jej wyswatać synalka z bogatą panną, ale jeszcze i Warski, na którego już dawno zagięła parol dla swojej przywiędłej Ewy, ku Helenie zwracał swe starania.

Ewa też nie posiadała się ze złości, tyle zabiegów, na nic! Nie wiedząc jak się zemścić na rywalce, zaczęła wszędzie robić uwagi nad tą dziwną, niezwykłą jakąś przyjaźnią jej z Zatorskim.

— Przecież to nie wypada - mówiła spuszczając skromnie oczy i przybierając skromne minki szesnastoletniej panienki.

Dawała wszystkim do zrozumienia, że panna Lubońska kocha się w poruczniku i gwałtem chce się wydać za niego; może myślała, że gdy to doj-

dzie do Warskiego, odstręczy go to od starania się o Helenę.

Nie wiedzieć, czy to tylko jej złośliwość dokazała tego, czy też i inni sami robili też swoje spostrzeżenia, dość, że w miesiąc już po przybyciu Heleny do Rożyńskich pełno było już w całej okolicy tego, że Zatorski stara się o nią — byli i tacy, którzy dodawali, że po cichu są już nawet po słowie ze sobą

Te plotki doszły wkrótce i do uszu Jana, i zmartwił i rozgniewał się nimi bardzo.

Więc już nie można nawet więcej rozmawiać z młodą i przystojną panną, nie można swobodnie okazać jej przyjaźni, bo zaraz jest się wziętym za starającego

Widział dobrze zabiegi Warskiego i Starzyckiego, i choć nieraz był świadkiem, jak ich Helena traktowała z góry i pogardliwie - nie mając sam najmniejszego zamiaru starania się o jej rękę, postanowił nie bywać już tak często w Zalesiu, usunąć się od panny, żeby nie mówiono, że jej los zawiązał, i przeszkadzał iść za mąż.

Rzeczywiście, ile razy był u Rożyńskich, prawie zawsze byli razem; ludzie patrzyli na to, i zwróciło to już ich uwagę

Po cóż mają się nimi zajmować? Lepiej się usunąć i koniec.

A co gorzej, i Helena mogła jego zajęcie się nią i ciągłe szukanie jej towarzystwa fałszywie tłómaczyć sobie.

Nie, jako uczciwy człowiek nie będzie panny bałamucił, ani dawał ludziom powód do plotek.

Przez dwa następne dni nie pokazał się wcale w Zalesiu; brakowało mu ogromnie tego domu tak miłego, tych dobrych, serdecznych ludzi, z którymi zżył się już jak z najbliższą rodziną; a szczególniej brakowało mu samej Heleny, którą polubił szczerze, ale obiecał sobie nie iść, i nie poszedł

Trzeciego dnia, był jakiś koncert i amatorskie przedstawienie w powiatowem miasteczku, położonem o dwie mile od Zalesia. Cała okolica zjechała się tam, bo to było na cel dobroczynny, i wszystkie panie tem się zajmowały.

Przybyli Rożyńscy z córką i siostrzenicą, cała rodzina Starzyckich, Kazimierz Solecki, Warski, Chłoński. Choć niechętnie musiał i Jan jechać, bo nie wiedział jak się wymówić znajomym i kolegom, którzy go namawiali. Przy tem nie chciał, aby jego nagłe odsunięcie się od Rożyńskich było zbyt bijącem w oczy.

Byłby wolał nie jechać, i nie widzieć Heleny; prawie bał się tego spotkania, bo zdawało mu się, jakby jej był krzywdę wyrządził.

I rzeczywiście, zaledwo wszedł na salę, zaraz wśród tłumu znajomych ujrzał Rożyńskich, i parę narzeczonych, a obok nich Helenę, ubraną całkiem biało, z paskiem tylko i kołnierzem z gorąco czerwonego aksamitu, i gałązkę ponsowej begonji w ciemnych włosach

Ładnie dziś wyglądała, ale jakoś dziwnie poważnie, smutno nawet, koło niej stał nieodstępny Warski, i szeptał coś z miną nader słodką; ona wyprostowana, z głową podniesioną i szyderczym wyrazem na ustach, słuchała jego opowiadania obojętnie, prawie pogardliwie, i oczyma zdawała się szukać kogoś na sali.

W tem dostrzegła zbliżającego się Jana, i gorący rumieniec oblał jej zachmurzoną twarz, która w jednej chwili stała się jasną, jak poranek majowy.

Warski dostrzegł to, i usunął się na bok z ironicznym, znaczącym uśmiechem

Helena przywitała Jana wesoło, przyjaźnie, jak zwykle.

— Cóż się to z panem działo, że się pan już tak dawno w Zalesiu nie pokazywał? Buntuje się pan, cóż to znowu? — pytała z uśmiechem.

Jan był dziwnie zmieszany, i miała wrażenie że niechce spojrzeć jej wprost w oczy.

— Nie miałem czasu, byłem więcej zajęty... przytem byłem niezdrów. . i nie mówiąc już do niej nic więcej, zwrócił się do pana Franciszka i zaczął jakąś ożywioną z nim rozmowę, nie patrząc jakby umyślnie w stronę Heleny.

Ona nie mogła zrozumieć, co się stało. Z niecierpliwością oczekiwała go przez ostatnie dwa dni, nie mogła dać sobie radę, ani miejsca znaleźć, chodziła tylko od okna do okna, wyglądając jego przybycia

Przypuszczała, że może miał więcej zajęcia, może był znów w tak smutnem usposobieniu, że nie chciał się tak pokazywać obcym oczom — to jedno nie przyszło jej na myśl, żeby miał zmienić się dla niej

Za cóż miałby jej zrobić taką straszną przykrość?

Wpadła na domysł, czy przypadkiem on może nie spostrzegł całej prawdy, czy ona mimowoli nie zdradziła się ze swą miłością dla niego; ale nie, to być nie mogło, ona tak nauczyła się już panować nad sobą i tak zawsze starannie ukrywała przed nim to swoje biedne, wzgardzone uczucie...

Może prędzej jakie plotki były powodem tej nagłej zmiany?

Jechała tu wesoła, rozswawolona jak dziecko, tak się cieszyła na zobaczenie go znowu po tych paru dniach niewidzenia, a teraz, cały humor i wesołość odbiegały ją nagle, i tylko półsłówkami odpowiadała Warskiemu, który po odejściu Jana znów zbliżył się do niej.

Przedstawienie się zaczęło; grano dwie krótkie, zabawne jednoaktówki. Koło krzesła Heleny usiadł z jednej strony Warski, z drugiej Kazimierz; ten zajęty był ciągle siedzącą obok narzeczoną — Warski zaś dalej nieubłaganie bawił swoją sąsiadkę.

Nie wiedziała co do niej mówił, nie patrzyła prawie na scenę, nie słuchała śpiewów i muzyki; myślała tylko o Janie, o tej dziwnej, niewytłómaczonej odmianie w jego zachowaniu, i po raz pierwszy dopiero od lat tylu, uczuwała coś nakształt buntu i gniewu za jego niewdzięczność.

Ona żyła tylko dla niego, ona tę miłość swoją nawet potrafiła ukryć w głębi serca, i być mu tylko przyjaciółką, pociechą w jego smutku; nie żądając w zamian nic dla siebie — a on niewdzięczny, nie widział tego, odsuwał się od niej, i taki jej tem ból zadawał.

On siedział o parę rzędów krzeseł dalej, i mimowoli, spoglądał wciąż w stronę Heleny.

Czuł się jakby winnym względem niej, był niespokojny, zły na samego siebie i tych wszystkich, którzy nawet tę dobroć, to współczucie szlachetnego dziewczęcia nazwali flirtem, lub polowaniem na męża.

Zdaleka widział jej białą postać i chwilami wydatny, energiczny profil w obramowaniu purpurowego aksamitu; w ciemnych jej włosach jaśniał kwiat ognisty; jakże jej pięknie było z tą pogardliwą powagą i z tym spokojem, z jakim spoglądała na nadskakującego jej Warskiego.

Ewa Starzycka z złośliwym uśmiechem na zwiędłej twarzy nachyliła się ku siostrze:

— Popatrz, moja droga. Zatorski jakoś dziwnie zdaleka trzyma się dziś od Lubońskiej. Nadaremne były jej trudy; dawna miłość była silniejszą. On z dwojga złego woli już Staniecką opłakiwać, jak z tą się żenić

Henryka spojrzała na siostrę i ruszyła ramionami z lekceważeniem.

— Co ty tak jej znosić nie możesz? Nie potrafisz jej darować, że młodsza i ładniejsza od ciebie, i że się Warski o nią stara? Ale bądź spokojna, nie ożeni się on z nią, dlatego, że go ona nie zechce, bo też warta lepszego, ale nie ożeni się i z tobą, bo znów on ciebie nie będzie chciał.

— Jesteś nieznośna... Zawsze musisz mi dokuczać. Już ja to oddawna uważam, że mnie niecierpisz i jesteś o mnie zazdrosna — zasyczała Ewa cicho a zjadliwie

Na to panna Henryka roześmiała się tak głośno, grubym, donośnym swoim głosem, że aż bliżej siedzący odwrócili głowy.

— Chyba masz bzika, ty, trzydziestoletni podlotku? Powiedz sama, czegobym ci zazdrościć miała? Obie stare panny, obie brzydkie i bez posagu, już chyba wolałabym zazdrościć komu innemu jak tobie!

Koło jedenastej dopiero skończyło się przedstawienie. Zaczęto się rozjeżdżać; tłum cały wyszedł z sali kasynowej, gdzie odbywał się teatr, sanki zajeżdżały jedne po drugich, jedni odjeżdżali, inni nawoływali swoich furmanów, lub fiakrów, był gwar i zamęt nieopisany.

Rożyńscy z pannami stali w progu; Helena widziała, jak Jan przeszedł obok nich, ale nie odwróciła wcale głowy.

Po chwili ujrzała go wracającego; zbliżył się do nich, widocznie zły o coś okropnie, i zaczął opowiadać:

— Miły wypadek mnie spotkał. Mój żołnierz upił się, jadąc zawadził o fiakra i zepsuł saneczki, i teraz nie mam czem do domu wracać. Dostał porządne łajanie, i jeszcze coś więcej... zostaje tu z sankami, które trzeba będzie oddać do naprawy, ale tymczasem ja chyba piechotą będę wracał, bo nie wiem czy i fiakra dostanę o tak późnej godzinie.

— Panie Janie, jedź pan z nami — rzekł mu na to pan Rożyński — mamy dwoje sanek, zmieści się pan doskonale, i odwieziemy pana do domu.

Jan podziękował mu serdecznie, bo nie miał nic innego do wyboru, jak przyjąć jego zaproszenie, ale dziwnie niemiłą była mu myśl przebycia tej drogi razem z Heleną, po tem co dziś zaszło.

Pani Stefania i narzeczeni pojechali już naprzód; do drugich sani wsiadł Rożyński, Helena i Jan.

Zaledwo wyjechali za miasto, pan Franciszek, przyzwyczajony kłaść się spać o gospodarskiej godzinie, zaczął się kiwać, to na prawo, to na lewo, i wkrótce usnął smacznie.

Młodzi siedzieli milcząco naprzeciw siebie, sanki mknęły jak strzała, a księżyc w pełni płynął po niebie, i oblewał białą, szeroką przestrzeń bladem, smutnem światłem; cisza była dokoła, tylko dzwonki dźwięczały w mroźnem powietrzu.

Oni milczeli długą chwilę, wreszcie, mimowoli,

oczy ich spotkały się, i Jan we wzroku dziewczęcia zobaczył taki niemy wyrzut, taką skargę, że w jednej chwili zrobiło mu się jej niezmiernie żal.

— Panno Heleno, niech się pani nie gniewa na mnie — rzekł patrząc na nią swoim łagodnym, wdzięcznym wzrokiem, a ona, w jednej chwili rozbrojona już, słuchała cała uśmiechnięta.

— Niech sobie pani nie tłómaczy źle mego dzisiejszego postępowania; byłbym niewdzięcznikiem bez serca, gdybym nie widział wielkiej dobroci pani dla mnie. Ja dla pani mam i zawsze mieć będę, serdeczną przyjaźń i wdzięczność głęboką, ale musiałem się usunąć, bo ludzie... ludzie podejrzliwi i ograniczeni, niezdolni pojąć żeby między mężczyzną a młodą kobietą mogła istnieć przyjaźń tylko i sympatja daleka od wszelkiego flirtu, zaczęli już robić o tem uwagi... Po co ja mam los pani psuć, przeszkadzać innym, którym się pani podoba? Nie chciałem żeby się przezemnie zajmowały panią wszystkie kochane kumoszki i plotkarki okoliczne. Wolałem się usunąć, choć mi to przykro było, strasznie przykro, bo przyjaźń pani, to teraz jedyna pociecha w mojem smutnem życiu.

— I pan dlatego, dla takich niemądrych, podłych bajek, chciałeś odrzucić moją przyjaźń? — zawołała Helena gwałtownie. — I komuż to pan nie chce przeszkadzać? Czy Warskiemu, czy Starzyckiemu? Któremuż z tych dwóch głupców, tych manekinów? Więc pan myśli że ja poszłabym za którego z nich? Cóż nas obchodzić może, co ludzie mówią? Niech wymyślają co chcą, nawet że ja chcę się wydać za pana, że poluję na pana koniecznie... wszystko mi jedno, i panu też powinno być obojętnem Ja przecież nie pomyślę, że się pan o mnie starasz, o to bądź pan spokojny — i roześmiała się głośno, ale w tym jej śmiechu drgał ból i łzy. (C. d n.)

SPADEK.

POWIEŚĆ.

RUDOLFA T-FRA.

(Dokończenie)

— Pretekst! — zawołał wuj. — Bądź szczery i powiedz otwarcie: „Nie chcę się żenić.“ Będę wtedy wiedział, jak postąpic.

— Gdybyś się mylił, kochany wuju, gdybym zakochał się naprawdę? Czy doradzałbyś mi wtedy zaślubić twoją pannę, skoro serce inną zajęte?

— To zależy; w kimże się pokochałeś?

— W młodej, ślicznej osobie

— Czy bogata?

— Nie sądzę.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem.

— Chyba żartujesz. Co to wszystko znaczy do djabła?

— To znaczy, że jakkolwiek ta młoda dziewczyna jest nieznaną i ubogą, nadto mi droga, abym mógł myśleć w tej chwili o małżeństwie z inną.

— Ha, ha! nieznana, uboga i piękna, to widzę jakieś głupstwo wedle wszelkich reguł.

— Głupstwo! bynajmniej, mój wuju, zapewniam cię

— Nie żartujmy.

— Nie mam wcale do tego ochoty.

— Więc nie myśl o tem! Na twojem stanowisku, z twoim majątkiem, z takiego jak ty rodu, marzyć o dziewczynie bez nazwiska i bez posagu!... Można z podobnemi osobami mieć blizkie stosunki, ale się ich nie zaślubia.

Słowa wuja, znieważające młodą dziewczynę, której skromność stanowiła największy w oczach moich powab, oburzały mnie. Rozbudzając w sercu uczucia jakie w niem gościły dnia poprzedniego, wywołały żal do starca, ceniącego jedynie stanowisko i pieniądze a zachęcającego cynicznie do zbezczeszczenia świętej, zapoznanej przez niego cnoty niewinności.

— Wuju — zawołałem w uniesieniu — obrażasz dobrą i cnotliwą dziewczynę, dziecko niewinne, bez skazy, godniejsze szacunku więcej od tej, którą chcesz mi dać za żonę; gotów jestem tysiąc razy zaślubić ją raczej, niżelibym ją miał zbezcześcić.

— To jej nie zbezczeszczaj, ale żeń się z tamtą.

— Dlaczego, skoro nie mam do tamtej skłonności, a serce ciągnie do drugiej? Przytaczam względy

stanowiska mego... ono czyni mnie znudzonym; majątku... majątek ten właśnie obdarzyć mnie powinien większą swobodą w wyborze towarzyszki życia Jeśli w tej ubogiej, bez głośnego nazwiska, lekceważonej młodej dziewczynie, którą spotkałem, znajduję w połączeniu piękność, cnotę i tysiące zalet, mogących zjednać miłość i szacunek, kto mi zabroni iść za głosem uczciwej skłonności serca?... Kto może mnie za to potępić, że chciałbym moim majątkiem poratować jej niedostatek, moją siłą wesprzeć jej słabość, podzielić z nią moje nazwisko i w tych szlachetnych pobudkach znajdować więcej zadowolenia i szczęścia, niżeli w związku skojarzonym względami próżności światowych. Ach! drogi wuju, radbym zdobyć się na taką energię, radbym nie być tak zdenerwowanym, tak zepsutym zasadami otoczenia mego, ubezwładnionym nałożonemi pętami, krępującemi a nie dającemi szczęścia, którebym znalazł obok skromnej towarzyszki, pogardzanej i znieważanej przez ciebie.

— Biegły z ciebie orator, ale mówisz jak głupiec. Ideały twoje przestarzałe. Dobre mogą być jeszcze w romansach, w życiu są niedorzecznością. Gdybyś kiedykolwiek popełnił podobne szaleństwo, pamiętaj, że z ową wybraną dzieliłbyś swój tylko majątek. Mój nie na to zbierałem, oszczędzałem, powiększałem, iżby rzucić go w ręce jakiejś gryzetki i przyspieszyć upadek naszej rodziny, pomagając ludziom nizkiego pochodzenia, których dałbyś mi za krewnych.

Wyrazy takie mogły mnie więcej tylko rozjątrzyć, odpowiedziałem też bez namysłu:

— W obecnej chwili, nie mam jeszcze zamiaru się żenić, ale chcę mieć prawo uczynić to, gdy zechcę, jak i kiedy mi się spodoba, choćby z młodą osobą, którą pogardzasz, nie znając jej wcale. W takim razie jednak słusznem jest, iżbym zrzekł się pretensji do spadku po tobie. Odbierz go, mój wuju, rozporządzaj nim wedle woli, ale zostaw mi swobodę działania. Nie miejmy o to żalu do siebie wzajemnie. Wierz mi, wuju, będziesz mi droższym, gdy przestanę uważać cię za samowładnego pana losów moich, gdy interes nie będzie mnie znaglał do ulegania poglądom i przekonaniom, których w duchu nie podzielam; jednem słowem, gdy będę tylko kochającym cię siostrzeńcem a nie twoim spadkobiercą, przejętym względem ciebie bojaźnią.

Kiedy to mówiłem, wyraz twarzy wuja zdradzał gorycz i niezadowolenie. Plany jego zniweczone, wola lekceważona, dobrodziejstwa odtrącone, wszystko to razem wywoływało u niego tak gwałtowny gniew, że ze wzruszenia bladł i czerwieniał na przemian.

— Ha! do tego zmierzałeś! — wybuchnął wreszcie — znudziła cię dobroć moja, ciężyła ci moja opieka! W sposób przyjazny chcesz się pozbyć moich rad, moich starań, moich dobrodziejstw. Rozumiem; dość tego mój panie; obejdziesz się bez mojej przyjaźni zarówno jak bez mego majątku; jedno i drugie nie należy już do ciebie a ja nie będę w kłopocie, komu je ofiarować. Żegnam.

Odszedł, ja zaś odprowadziwszy go do drzwi, wróciłem do pokoju

---

IV.

Czy spisz czytelniku? Co o mnie myślisz? Kto zdaniem twojem ma słuszność, ja, czy mój wuj? Odgadłbym to, gdybym znał twoje stanowisko, twój wiek, czyś kobietą, mężczyzną, kawalerem czy panną.

Jeśliś młody, to staniesz pewno po mojej stronie, jakkolwiek w postępowaniu mojem było więcej uczciwej bezinteresowności i szlachetnej nierozwagi niżeli rozsądku i zastanowienia; podobnych błędów nie popełnia się, gdy lata przytępią u człowieka siłę uczucia i nauczą go zimnej rachuby. Jeśli się mylę, kochany przyjacielu czy przyjaciółko, nie pozbawiaj mnie drogich dla mnie złudzeń; jeśli odgadłem trafnie, ja ciebie nie chcę ich pozbawiać. Dość wcześnie nabędziesz smutnego doświadczenia, dość prędko ochłodnie ci serce i zagoszczą w niem samolubne żądze.

Jeśli przeciwnie stary jesteś ale w duszy twojej tleją jeszcze resztki ideałów młodości, to lubo nazwiesz mnie szaleńcem, wyciągniesz jednak ku mnie przyjazną dłoń i uśmiechniesz się życzliwie; potępiając głośno, w głębi serca udzielisz mi poparcia swego. Jeśli jednak do przywar późnego wieku łączysz jeszcze charakter samolubny, chęć wyniesienia się, przesądy rodowe, jeśliś chciwy zysków, jeśli cenisz więcej dobrobyt nad szlachetne porywy serca, człowieku chłodnej rozwagi, staniesz po stronie mego wuja, potępisz szaleńca zrzekającego się lekkomyślnie spadku i gotowego poświęcić świetne widoki przyszłości dla ładnej i cnotliwej dziewczyny.

Co do mnie, w pierwszej chwili odczuwałem jedynie radość ze zrzucenia z siebie ciążącego jarzma; rad byłem z odpowiedzi danej wujowi. Jakkolwiek nie powziąłem żadnych jeszcze stanowczych zamiarów względem młodej osoby, której broniłem tak gorąco, pochwalałem w duchu postępowanie moje. Zerwałem krępujące mię więzy, byłem panem swego

losu, a odzyskanej wolności towarzyszy zawsze uczucie radosnego upojenia. Niewielki mój majątek, uważany dotychczas za małoznaczące źródło chwilowego dobrobytu, nabrał ceny w moich oczach: mogłem nim rozporządzać wedle woli dzielić go, z kim zechcę. Życie przedstawiło mi się z powabniejszej strony, otrząsnąłem się z apatji, rozbudzona ambicja podsuwała w myśli różne plany i dawała odczuwać potrzebę pracy. Machinalnie, jakby z instynktu poszanowania własności, układałem starannie przybory toaletowe, chowałem brzytwy do pudełka, na każdy najdrobniejszy przedmiot spoglądałem z upodobaniem W innem świetle widziałem Jakóba, rozmyślałem, w jaki sposób przyczynić się do jego wykształcenia, jak do siebie przywiązać. Marzyłem o wytworzeniu dokoła osoby mojej atmosfery szczęścia, upatrywanego dawniej w otrzymaniu po śmierci wuja spadku. Pragnienie tego domowego szczęścia przywiodło mi na myśl potrzebę towarzyszki życia, któraby je rozjaśniała i rozweselała i obraz wczoraj poznanej młodej dziewczyny stawał mi wtedy przed oczyma Najwięcej wreszcie cieszyła mnie myśl, iż odzyskawszy swobodę działania, nie będę zmuszony iść wieczorem na herbatę do pani de Luze.

Wyprowadziłem ztąd wnioski głęboko filozoficzne, zgodne ze zwyczajem jaki mamy formułowania ogólnikowo maksym, opartych na osobistych doświadczeniach losu. Ah! ktokolwiek jesteś, żałuję cię szczerze, jeśli przyszłość swoją zależną czynisz od spodziewanego spadku. Gdy twój zapisodawca nie myśli dość wcześnie wynosić się na tamten świat, marnujesz najpiękniejsze lata życia na przykrem bezowocnem wyczekiwaniu, gdy zaś niecierpliwy jesteś używania owej fortuny, przymilając się pozornie jej właścicielowi, życzysz mu rychłej śmierci w głębi duszy, to czyni cię istnie moralnym potworem. Jakże ciężko być przymuszonym tłumić uczucia swoje, wyrzec się swych skłonności, swoich przekonań niekiedy nawet uczciwości swojej! Nie, nie pożądajmy spadków! lepiej pracować, cierpieć ale być wolnym, niezależnym, panem swego losu, swego serca, oddać je tej, którą kochamy, a nie tej, którą nam narzucają; wybrać za towarzyszkę życia dziewczynę skromną, niewinną, odpłacającą szczerem przywiązaniem poświęcone dla niej korzyści stosunków światowych, a nie pannę wymagającą, poszukującą więcej od męża zdobytych z nim razem dostatków i wygód życia, której serce zajęte raczej rozrywkami i próżnostkami, niżeli pozyskaniem przywiązania twego. „Kochana przyjaciółko — mówiłem w duchu w uniesieniu egzaltacji — ty taka skromna, trwożliwa, taka piękna wdziękiem niewinności, dlaczegożbym nie miał szukać obok ciebie szczęścia, jakiego przedsmak poznać mi dałaś".

W ten sposób miłość, podrażniona doznaną zniewagą, odradzała się w mojem sercu pełna zapału i energji Zapragnąłem bliżej poznać osobę, będącą celem moich myśli, chciałem wiedzieć, czy jej wychowanie nie będzie przeszkodą w spełnieniu życzeń moich, a tysiące drobnych szczegółów nasuwało mi się w pamięci.

Stawały na oczach białe jej rączki, delikatna na nich skóra, nie zgrubiała od ciężkiej pracy; nie mogły te ręce podołać dźwiganiu kubłów z wodą, co świadczyło, że nie przywykły do pospolitych robót. Strój jej choć skromny, był gustowny; dostrzegłem nawet maleńką nóżkę w buciku popielatym, na boku sznurowanym. Wchodząc myślą do jej mieszkania, zwiedzałem ponownie wszystkie jego kąciki, zwracały moją uwagę wytworniejsze meble jako ślad utraconego dobrobytu i wskazówka pewnej elegancji w nawyknieniach. Widziałem porzucony na fotelu płaszczyk czarny jedwabny, futrem podbity, poczytując go za własność matki dziewczyny, o jej guście dobrego nabierałem wyobrażenia. Nadewszystko cieszył mnie widok książek porządnie oprawnych, leżących na stole; jedna z nich w angielskim języku otwartą była na poemacie Thompson'a „Pory roku". Wszystkie te szczegóły w połączeniu z dźwiękiem jej głosu, z jej zachowaniem, jej skromnością, tworzyły powabny obraz mojej młodej protegowanej, odpowiadającej wszelkim arystokratycznym wymaganiom moim. Byłem niecierpliwy ujrzeć ją znowu, spoglądałem na zegar rozważając, czy mimo spóźnionej pory wypada iść do niej. Naraz zerwałem się z krzesła i wyszedłem.

V.

Gdym się znalazł na ulicy, ciemność, cisza, spokój wieczorny przywodziły na pamięć miłe wrażenia dnia wczorajszego; szedłem temi samemi zaułkami i niebawem znalazłem się u celu. W miarę jednak jak zbliżałem się do domu mojej młodej nieznajomej, ogarniało mnie niedoświadczane dotąd uczucie onieśmielenia, zatrzymałem się u wejścia, niepewny, czy iść naprzód, czy w tył się cofnąć i zaniechać zamiarów moich.

Zachęciło mnie do wykonania pierwotnego planu to właśnie, co mnie do niego zachęcić było powinno. Nie widziałem światła na 3 m piętrze; w równej mierze niespokojny i ciekawy, nie przypusz-

czałem, aby matka i córka o ósmej wieczorem we śnie już pogrążone być mogły.

Z bijącem sercem wszedłem na schody i stanąłem przed progiem mieszkania Zastukałem lekko, choć pewny byłem, że nikt nie odpowie, gotując się do ucieczki w razie najmniejszego szmeru; głucha cisza panowała dokoła Ośmielony tem zacząłem mocniej stukać i odważyłem się wreszcie zadzwonić. Drzwi na niższem piętrze otworzyły się bezzwłocznie i stanęła w nich jakaś milcząca postać, a światło lampy oświeciło miejsce, w którem stałem. Co miałem robić? Uciekać wyżej? Byłbym tem ściągnął na siebie podejrzenie. Pozostać na miejscu? Na tę myśl krople zimnego potu występowały ze strachu na czoło, każda sekunda wydała mi się wiekiem. Zejść na dół nie miałem odwagi; zdecydowałem się powtórnie zadzwonić. Wtedy postać z niższego piętra zawołała głośno. — To on! — I ujrzałem przed sobą sąsiadkę, widzianą dnia wczorajszego.

— Bezwstydny! śmiesz jeszcze powracać! — zawołała w uniesieniu gniewu. — Przychodzisz dopominać się bezczelnie o płaszcz swój tu zostawiony. Oddałam go proboszczowi naszej parafji, idź go tam odebrać. Proboszcz o wszystkiem powiadomiony, będzie wiedział, jak się z panem rozmówić.

Słuchałem tych obelg raczej ze zdumieniem niżeli z urazą.

— Niewiem, kto pani jesteś – rzekłem wreszcie. — Dziwi mnie tylko, że nierozważnemi słowy pozwalasz sobie krompromitować niewinną dziewczynę, rzucając jednocześnie na mnie ubliżające potwarze.

— Potwarze! — powtórzyła z oburzeniem — czyż nie zeszłam was niespodzianie? Czyż nie widziałam jej łez? Ja to znalazłam pański płaszcz w nogach jej łóżka.

— Nie rozumiem – przerwałem złośliwej kobiecie — nie przyszedłem tu zresztą słuchać pani wymówek i odbierać płaszcz zapomniany Radbym tylko wiedzieć, o której godzinie mogę zastać tę młodą osobę i jej matkę.

— Nie zobaczysz ich pan więcej i nie ośmielisz się iść tam, gdzie się schroniły przed tobą. Zejdź mi co prędzej z oczu i niech nigdy twoja noga nie przestąpi progu tego domu. To wszystko, co mi kazano panu oświadczyć.

Po tych słowach schodzić zaczęła ze schodów, oglądając się, czy idę za nią. Z okien wychodzących na podwórze wyglądały główki, przypatrujące nam się ciekawie; w ich mniemaniu milczenie moje było najwymowniejszym dowodem winy; chcąc ich z błędu wyprowadzić, odezwałem się do megiery będącej przyczyną gorszącego zajścia:

— Chcę, aby wszyscy wiedzieli, jak się nazywam; jestem Edward Vaux i pragnę usprawiedliwić się przed tamtą panienką i jej matką. nadto je bowiem szanuję, abym mógł obojętnie znieść ich pogardę. Co do nas, moja pani, rachunki jeszcze nie skończone; bez żadnych słusznych powodów nikczemnemi podejrzeniami, wyrządziłaś niewinnej dziewczynie krzywdę nie nagrodzoną.

To rzekłszy, zeszedłem na podwórze, a uszu moich dochodziły szepty, zwabionych do okien tem zajściem sąsiadów.

Czułem się niezadowolony, nietyle z gburowatego obejścia złośliwej kobiety, ile z doznanego zawodu widzenia młodej dziewczyny, której tajemnicze zniknięcie podniecało silniej jeszcze uczucia moje. Pragnąłem coprędzej uspokoić biedną matkę, zatrwożoną o los dziecka, zaopiekować się córką, na którą z mojej przyczyny padł cień oszczerstwa. Czułem się obowiązany stanąć w jej obronie, a ta rola szlachetnego opiekuna uciśnionej niewinności pochlebiała mi i potęgowała skłonność mego serca.

Zadawałem sobie nieustannie pytanie dokąd one się udały? Gdzie je znajdę? Na razie jednak nie pozostało mi nic innego jak udać się do proboszcza i wytłómaczyć mu ową scenę z płaszczem, ażeby nie nabrał fałszywego o mnie wyobrażenia. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że proboszczem owym jest ks. Latour, kuzyn pani de Luze, znajomy zresztą i mego wuja.

— Tem lepiej — myślę. Wszystko się rychlej skończy.

Przedstawiłem się poważnemu starcowi, opowiedziałem mu z całą energią młodości, jak się rzecz miała i oświadczyłem stanowczo, że pragnę gorąco mimowolny mój błąd wobec młodej kobiety naprawić. Słuchał mię uważnie z powagą ale i życzliwością w twarzy. Gdym już wszystko wypowiedział, rzekł:

— Wiem już coś nie co o tem z ust owej panienki, i ganić pańskiego postępku nie mogę. Ale mam przecie coś zarzucić. Oto wuj pański przeciwny jest pańskim zamiarom.

— Jakto, czcigodny księże proboszczu, wiesz o tem?

— Naturalnie. Wuj wiedząc o tem, że jestem proboszczem tej parafji, napisał mi list, tłumaczący pana, który mu odczytam

Tu ku mojemu zdziwieniu odczytał list wuja, pełen obelg na biedne dziewczę i oskarżeń przeciwko mnie. Spojrzał mi w oczy i rzekł:

— Ten list jednak w niczem nie zmienia mego dobrego mniemania o owej panience i postąpieniu pańskiem.

Szarpany w duszy sprzecznemi uczuciami, oburzony na wuja, który szczerym wyznaniom moim nadawał znaczenie wyuzdanej rozwiązłości, przejęty szacunkiem dla broniącego niewinnej dziewczyny kapłana, pozostałem chwil kilka w milczeniu, czekając, aż odzyskam utraconą krew zimną, wreszcie odezwałem się z pozornym spokojem:

— Nie mam prawa wymagać od księdza dobrodzieja lepszej o mnie opinji, skoro własny wuj oczernia mnie przed nim. Potrafię jednak usunąć obawy i skrupuły wasze. Tak jest, wyznaję szczerze, kocham ową młodą osobę i powiem to, co wuj zataił, że właśnie z jej powodu poróżniliśmy się z sobą, że wskutek tego zrzuciłem ciążące mi jego jarzmo, wyrzekłem się spadku po nim, a co więcej, wyrzekłem się ręki i zaszczytnego połączenia z krewną księdza dobrodzieja. Postępując tak, nie miałem jeszcze stanowczo określonych zamiarów względem młodej mojej nieznajomej, dziś jednak, gdy ona jest skompromitowaną, gdy niechęć i obmowa szarpią jej dobrą sławę, proszę o jej rękę jako o dar gorąco pożądany. Czy zechce ksiądz dobrodziej być pośrednikiem moim w tej sprawie? Tego spodziewam się po nim, jeśli zdołam go przekonać o szczerości i prawości uczuć moich.

— W głębi duszy sprawiedliwie oceniłem już oddawna intencje pańskie — odpowiedział proboszcz, ujmując tym razem z serdecznością dłoń moją—zastanów się jednak, że szlachetny zapał unosi cię może za daleko. Nie mam obowiązku być w tym względzie rzecznikiem mojej kuzynki, ale przestrzegam, że los całego życia stawiasz w tej chwili na kartę... Zrzekasz się korzyści świetnego stanowiska, zrzekasz się związku z miłą i godną szacunku osobą, narażasz się na gniew twego wuja i na utratę spodziewanego po nim spadku, a co zyskujesz natomiast? Połączenie z cnotliwą i piękną dziewczyną, ale osobą nieznaną, ubogą, którą przesądy światowe nie dozwolą ci wprowadzić w koła towarzyskie, tworzące dotychczasową sferę twoją. Nie chcę szkodzić dobrym kobietom, którym Bóg może nagradza w ten sposób ich cnoty i przebyte koleje życia, radbym tylko, abyś pan nie działał zbyt pospiesznie i pozwolił dojrzeć zamiarom swoim. Jeśli wytrwasz w szlachetnych postanowieniach, z chęcią podejmę się roli pośrednika i modlić się będę do Boga o pobłogosławienie związku, zawartego pod tak pomyślnemi wróżbami.

Po tych jego słowach rzuciłem się księdzu w objęcia i dozwoliłem mu czytać w sercu mojem jak w otwartej księdze. Mógł się przekonać, że postanowienie moje było szczere, ugruntowane na potrzebie szukania w przywiązaniu i obowiązkach rodzinnych szczęścia, jakiego dać mi mogło życie w dostatkach i bezczynności pędzone. Pozyskawszy w ten sposób ufność i szacunek zacnego starca, zacząłem go wypytywać o dwie panie, które choć już tak bliskie mego serca, nie były mi dotąd z nazwiska znane.

Wszystko, co mi o tych kobietach opowiadał, nie rażąc moich uprzedzeń arystokratycznych, napełniało mnie zadowoleniem i radością. Ojciec młodej dziewczyny, Adeli Senar, rodem jak ja Szwajcar, służył w marynarce angielskiej i bawiąc w Anglji zaślubił jej matkę; ta po śmierci męża, zaszłej przed dwoma laty, powróciła z córką do Szwajcarji i poświęciła się wyłącznie wychowaniu jedynaczki, żyjąc skromnie z niewielkiej pensji, wypłacanej wdowom po oficerach angielskich. Wyjaśniało to widzenie na stole książki z poezjami angielskiemi i kilka wykwintnych mebli, będących śladem dawniejszego ich dobrobytu. Zainteresowany gorąco szczegółami ich życia pytałem z rodzajem obawy:

— Czy sądzisz, księże dobrodzieju, że te panie nie są zbyt do mnie uprzedzone? że wysłuchają prośby mojej? że zdołam pozyskać serce młodej dziewczyny, lekceważącej prawdopodobnie w bezinteresowności swojej korzyści materjalne? Całą ufność w tobie proboszczu, pokładam; ty jeden zdołasz usunąć ich niedowierzanie i życzliwiej je dla mnie usposobić.

— Postaram się zadość uczynić życzeniu twemu — odparł kapłan — lubo trudniejsza do przełamania od ich uprzedzeń może być drażliwość godności osobistej, właściwa uczciwym a ubogim ludziom. Przewaga pana stanowiska i majątku niewątpliwie przerażać je będzie. Zamiarem matki, popieranym szczerze przezemnie było zapewnienie córce szczęścia w skromnych warunkach bytu, nie godzących się wszelakoż z jej upodobaniami rozwiniętemi starannem wychowaniem. Nie wyobrażasz sobie pan, ile wykształcenia umysłowego i estetycznego smaku posiadają te dwie kobiety, zamieszkujące nędzny, widziany przez ciebie pokoik. Nieśmiała i niedoświadczona dziewczyna, obok innych nauk uprawia muzykę i rysunki, odrabiając wszystko z wdziękiem i poczuciem artystycznem.

Gawędka nasza przeciągnęła się długo; zarzucałem księdza pytaniami, pragnąc wiedzieć najdrobniejsze szczegóły o osobach obchodzących mnie tak żywo. Umówiliśmy się, że proboszcz nazajutrz

rano uda się do tych pań, a uwzględniając niecierpliwość moją, powiadomi mnie o ich odpowiedzi w południe, poczem podziękowałem zacnemu kapłanowi żegnając go z sercem przepełnionem radością i nadzieją.

VI

Powróciłem uszczęśliwiony i przeistoczony moralnie; zdawało mi się, że dopiero od tej chwili żyć zacząłem. Dziś jeszcze sądzę, iż nie myliłem się w tym względzie, bo chociaż od owej epoki doświadczyłem niejednej przeciwności, nie popadłem nigdy w dawny stan apatji; jest ona zwykłym wynikiem zbyt łatwych warunków życia, wśród których w sercu panuje pustka a umysł gnuśnieje, marnując zdolności na załatwienie drobnostkowych spraw salonowych i zaspakajanie czczych próżnostek.

Należąc do klasy ludzi tak zwykle czas spędzających, boleję nad ich losem i myślę, że gdybym pozbawiony był szczęścia, którego dziś używam, a musiał rozporządzać nanowo przyszłością moją, wybrałbym pracowity niedostatek, znaglający do ciągłej czynności i zabiegów, raczej niżeli próżniaczą zamożność, która przyczyniła się do tego, iż zmarnowałem bez pożytku połowę najpiękniejszych lat młodości. Podobnie jak poprzedniego wieczoru puściłem wodze niepokojącym rozmyślaniom, towarzyszącym zwykle stanowczym przełomom w ważnych epokach życia; chwilom, w których człowiek żegna się z przeszłością, aby rozpocząć nowe istnienie. Siedząc przy ogniu dla podtrzymania trwożnych nadziei, przypominałem sobie każdy serdeczniejszy dźwięk w słowach młodej dziewczyny, każde jej życzliwsze wejrzenie, krzepiłem się ufnością w skuteczność poparcia mego zacnego przyjaciela, gdy naraz oczy moje padły na list leżący na stoliku, którego dotąd nie zauważyłem. Poznawszy pismo wuja, zadzwoniłem i zapytałem Jakóba, kiedy list przyniesiono.

— Podczas nieobecności pana — brzmiała odpowiedź — żądano nawet zaraz odpowiedzi.

Z rodzajem niechęci rozerwałem kopertę oto co w liście wyczytałem:

„Kochany Edwardzie!

Chcę o wszystkiem zapomnieć. Wyszedłszy od ciebie, dowiedziałem się o nierozważnej pustocie twojej i o płaszczu zostawionym jako corpus delicti. Postarałem się zaraz zaradzić złemu, aby uniknąć plotek, które rozsiewać zaczęto. Najpilniejszem było udobruchanie księdza Latour, bliskiego krewnego twojej przyszłej żony; tego dokonałem szczęśliwie. Nic zatem jeszcze nie stracone.

„Przyznaję, że skoro skompromitowałeś tamtą dziewczynę, należy jej się pewne wynagrodzenie, podejmuję się ten rachunek z nią uregulować. Za to jednak nie przystaję na żadne dłuższe z twej strony wahanie; jutro oświadczysz się i sprawę zakończyć musimy, pod tym jedynie warunkiem odzyskasz spadek i przywiązanie kochającego cię wuja".

Słowa tego listu doprowadziły mnie do wściekłości; złorzeczyłem człowiekowi, którego cynizm kalał wszystko, co ja uważałem za czyste i święte. Chwyciłem za pióro i napisałem tak pełną pogardy odpowiedź, że ją rozdarłem po chwili zastanowienia i uznałem, iż ujawnienie postanowienia mego, będzie najlepszą daną wujowi odprawą.

Biła trzecia po północy, gdym się do łóżka położył; sądziłem, że sen skróci długie godziny oczekiwania; zaledwie jednak pierwsze promienie słońca zajrzały do okna, zerwałem się z posłania, ubrałem się spiesznie, wyczekując z coraz większą niecierpliwością rozstrzygającej los mój chwili.

Ze wzrokiem utkwionym w zegar obliczałem czas, w którym ksiądz Latour powinien był wstać, ubrać się i stawić przed dwoma paniami, dla przełożenia im prośby mojej. Nie mogąc wreszcie znieść dłuższej niepewności, wyszedłem na spotkanie proboszcza.

Poczciwy kapłan we własnej plebanji dał schronienie biednym kobietom, a wspomnienie chwili, gdym do nich po ostateczną decyzję dążył, nie zatrze się nigdy w mojej pamięci. Czas był łagodny; bladawe promienie zimowego słońca odbijały się o pokryte śniegiem dachy rozrzuconych domków przedmieścia.

Widząc z daleka jadący wózek, pobiegłem na jego spotkanie, a woźnica, zatrzymawszy konia, zapytał, czy nie jestem tym właśnie, po kogo wysłał go ksiądz Latour. W odpowiedzi wskoczyłem na bryczkę. Ogarnęło mnie wzruszenie tak silne, że niemal traciłem przytomność umysłu, a serce silnie uderzało w piersiach, gdym z ocienionej drzewami plebanji, ujrzał idącego na moje spotkanie proboszcza w towarzystwie poważnej pięćdziesięcioletniej kobiety.

Ubrana gustownie choć skromnie, spoglądała na mnie wzrokiem tak badawczym, że onieśmielony tem, nie umiałem się zdobyć na słowo powitania; widząc moje zakłopotanie, poczciwy proboszcz odezwał się pierwszy, mówiąc:

— Przedstawiłem prośbę twoją, mój przyjacielu, pani Senar wysłuchała ją łaskawie. Reszty sam dokonać potrafisz, i jak sądzę, najskuteczniej sprawę swoją popierać będziesz.

— W niezwykły sposób zawiązała się znajomość nasza — zauważyła wzruszonym głosem matka Adeli — wybrałeś sobie pan dobrego pośrednika; zdanie księdza Latour ma dla mnie znaczenie wielkiej wagi i do niego w chwilach stanowczych odwoływać się zwykłam. Córka moja nie wie jeszcze o niczem, zaufawszy jednak charakterowi pana, nie będę krępowała jej wyboru.

Rozrzewniony do głębi duszy temi słowy, gorącym pocałunkiem, złożonym na ręce zacnej kobiety, mogłem jedynie wyrazić jej wdzięczność moją. Odzyskawszy trochę śmiałości, podałem ramie przyszłej teściowej i weszliśmy razem do saloniku.

Na mój widok rumieńce wystąpiły na twarz młodej dziewczyny, oczekującej w pokoju powrotu matki; ukłoniła się z powagą, w pełnej wdzięku postawie, czekając, aż starsi zajmą miejsce.

— Mam nadzieję — odezwałem się do niej — że pani wypoczęła już po trudach wieczoru, któremu zawdzięczam zapoznanie nasze

Zarumieniła się znowu, a nie chcąc jej sprawić przykrości, zacząłem mówić o szczegółach pożaru. Wywiązała się rozmowa sztywna, wymuszona, jak zwykle bywa, gdy pod obojętnymi na pozór wyrazami, usiłujemy ukryć wzruszenie serca. Adela tylko, nie domyślając się celu wizyty mojej, słuchała z zajęciem opowiadania, biorąc w niem sama chwilowo udział.

Ów przymus jednak ciężył mi z każdą chwilą więcej; mimo życzliwych słów matki nie wiedziałem, jak przystąpić do oświadczyn moich W końcu ksiądz Latour, przychodząc nam z pomocą, odezwał się do młodej dziewczyny:

— Radbym Adelo, iżby mój przyjaciel, który jest również przyjacielem twojej matki, i twoją życzliwość pozyskał z kolei.

— Ksiądz proboszcz wie - odparła dziewczyna trochę zmieszana, ale bez fałszywego wstydu — że kocham tych wszystkich, którzy od ciebie i mojej matki są kochani

Jasnem było, iż niewinne jej serce nie rozumiało znaczenia słów księdza

— Każdy rodzaj życzliwości z pani strony potrafię cenić wysoko — odezwałem się wtedy — muszę jednak być szczerym i wyznać gorące serca pragnienie, od którego spełnienia zawisło szczęście mego życia.. proszę o twoją rękę, panno Adelo, o połączenie losów naszych na zawsze, o prawo nazwania cię dozgonną towarzyszką a siebie synem matki twojej, którą dziś już szanuję i kocham na równi z moją własną, utraconą przed laty

Gdym to mówił, młoda dziewczyna z rodzajem zdumienia i niepokoju spoglądała kolejno na księdza, na mnie i na matkę. Ta ostatnia w chwili mającej rozstrzygnąć o przyszłości jej dziecka, wzruszona wspomnieniami przeszłości, nie mogąc dłużej zapanować nad sobą rozpłakała się rzewnie

— Mamo! — zawołała Adela, tuląc się do niej z czułością — kocham tego pana... jestem ci jednak we wszystkiem uległą.. rozrządzaj mną, jak uważasz najlepiej dla własnego szczęścia.

Matka nie mogła odpowiedzieć jej na razie, zwracając się jednak do mnie, ujęła dłoń córki i z ufnością złożyła ją w moją rękę.

Od tej chwili byliśmy już połączeni; prawdziwa niewinność nie zna niewiary, a młode serce oddaje się bez zastrzeżeń W duszy Adeli znalazłem skarby uczucia nie skalane tchnieniem świata Piękna, wykształcona, utalentowana, największą przyjemność znajdowała w poświęceniu się dla tych, których kochała, a to dodawało jej więcej wdzięku od wszystkich sztucznych wybiegów kokieterji.

Przez parę miesięcy zimowych narzeczona moja i jej matka korzystały jeszcze z gościnności proboszcza. W skromnej owej plebanji, do której dążyłem codziennie z sercem przepełnionem miłością, spędziłem najmilsze chwile mego życia, będące jednak dopiero zapowiedzią szczęścia, jakiego dziś w pełni używam, nie doznawszy żadnego zawodu ani rozczarowania.

Z nadejściem wiosny ksiądz Latour pobłogosławił nasz związek małżeński i pozostał dotąd wiernym, serdecznym naszym przyjacielem Jakób, mimo zmiany materjalnego położenia mego, nierozstał się ze mną, służąc nam zawsze życzliwie. Wuj zagniewany na mnie, umierając w dwa lata po naszym ślubie, wydziedziczył nas i cały majątek rozdzielił między dalszych krewnych. A teraz kochany czytelniku, choć z żalem, pożegnać cię muszę, jeśli, jak mam nadzieję, wytrwałeś do końca w czytaniu niniejszej mojej nowelki.

CYKLON SWATEM.

Gorąco było, bardzo gorąco. Gdyby nie to, nie byłoby całej tej historji, gdyż kapitan Barris był z natury bardzo powściągliwy. Ale na nieszczęście było gorąco. Archy Barris znużony był długą jazdą koleją żelazną, a widmo kufelka piwa świeżego, z pianą na wierzchu, nieco musującego, uśmiechało się doń rozkosznie. Był on świeżo odkomenderowany do arsenału w Rock-Island, a o mieście Grinnell (w stanie Jowa) tyle wiedział, że miał w niem podnieść mały spadek. Najniewinniej więc w świecie oglądał się za szyldem kawiarni.

Jak w tylu miastach zachodnich, ulica była prosta, szeroka, ocieniona drzewami. Wszystkie domki drewniane zdawały się być zbudowane przez jednego jakiegoś prozaicznego budowniczego. Niektóre z nich wyglądały brudnawo, większa część jednak była świeżo pomalowana. Przed wszystkiemi rozciągały się ogródki, starannie utrzymane, istne oazy zieloności wśród pustyni pyłu. Tu i owdzie, pomiędzy domami, otwierała się ogromna przestrzeń pól, leżących odłogiem, okrytych bujną roślinnością, nigdy kosą nie tkniętą. Kontrast między tem zaniedbaniem a czystością domków sprawiał szczególne wrażenie, równie charakteryzujące Zachód amerykański, jak ocean preryj, które opasywały miasto, albo jak palące słońce, które mu dopiekało.

Najmniejsze drgnięcie rozpalonego powietrza nie poruszało cieniem, padającym od platanów na drogę. Kilka wózków wieśniaczych z trudem pełzało w tem świetle oślepiającem. O kilkanaście kroków od Archy'ego szedł jakiś jeden, jedyny człowiek, wysoki, chudy, ale silnie zbudowany. Mimo gorąca miał na swej głowie miękki, czarny kapelusz pilśniowy, a na nogach ciężkie buty. Za to surdut zarzucił na rękę i rozpiął kamizelkę starożytnego kroju. Szedł powoli, a obłączyste jego ramiona i chód nierówny, zdradzały człowieka przywykłego wpatrywać się ciągle w ziemię.

Archy, który nie znał zupełnie zwyczajów stanu Jowa, poszedł prosto ku starcowi i zapytał się go, gdzieby mógł dostać szklankę piwa. Starzec zwrócił ku niemu twarz surową, pooraną zmarszczkami.

— Ja mam panu powiedzieć, gdzie dostaniesz szklankę piwa? — odrzekł starzec, straszliwie marszcząc brwi i obejmując przenikliwym wzrokiem całą wytworną postać Archy'ego, od modnego białego kapelusza, aż do kamaszy niepokalanej czystości. — Nie, młodzieńcze, nie mogę tego zrobić, i radzę ci, nie pytaj się o to, gdyż mogłaby cię spotkać nieprzyjemność, którą odczułyby twoje piękne szaty. W każdym zaś razie nie znajdziesz ani kropli piwa w Grinnell.

— A to dla czego?

— Dla tego, że Grinnell jest miastem prohibicjonistycznem, i że u nas zakaz jest zakazem. U nas tu nie ma ani jednej winiarni, i nie dostaniesz tu pan ani jednej kropli trunku upajającego, ani jednej!...

Nagle zamilkł, jaby przestraszony, z ustami otwartemi, z osłupiałym wzrokiem. Palec jego, który właśnie zakreślał w powietrzu ruch majestatyczny, zatrzymał się, jakby sparaliżowany, w kierunku jakiegoś człowieka, który właśnie ukazał się na zakręcie ulicy, a którego nos karmazynowy; chód zygzakowaty i niewyraźne bełkotanie, zdradzały oczywiście pijaka.

— Ten pan wskaże mi może to, czego szukam — rzekł złośliwie Archy, ukłonił się staremu z wyszukaną grzecznością, rozśmiał się i odszedł.

* * *

W rok później, Archy wrócił do Grinnell. Tym razem był poważny i zamyślony.

— Pewien jestem, że ojciec Racheli jest podobny do owego jegomościa, jeżeli nie... A! to byłoby fatalnie!

Rozśmiał się, ale śmiech jego brzmiał fałszywie. Rachela była piękna; ba! zachwycająca i dobra. Archy zakochał się w niej po same uszy, ale ilekroć pomyślał o jej rodzinie, opuszczała go odwaga.

— Rachela jest aniołem, ani słowa — rzekła raz jego matka, gdy jej się zwierzył ze swojemi zamiarami — anioły stoją ponad klasyfikacją społeczną. Ale jej rodzice...

— Przypuśćmy, że przynajmniej matka jej jest aniołem; umarła przed dziesięcioma laty.

— Zostają jeszcze ojciec i dwaj bracia. Rachela mówiła mi prócz tego, że u nich bawi kuzynka, z którą ojciec myśli się żenić. Ta kuzynka pochodzi z Vermont, reszta nie wytknęła nigdy nosa z Grinnell. Nie sądź o nich z naszych przyjaciół Ramsay'ów, którzy Bóg wie gdzie nie byli, a córkę tylko przez czysty kaprys posyłali do tego kolegium. Ja czuję, że rodzina Racheli jest niemożebną.

— Przecież nie ożenię się z jej rodziną — odpowiedział wtedy Archy.

Ale teraz, miotany złowrogiemi przeczuciami, śledził uważnie wszystkich mężczyzn, wracających na obiad do domów, chcąc odgadnąć, który z nich może być ojcem Racheli. Byli to wszystko ludzie poważni, sztywni, podobni do mężczyzn w ich wieku we wszystkich miastach Nowej Anglji, z wyjątkiem pewnych zaniedbań w stroju, które są cechą charakterystyczną Zachodu.

— Ramsay ma słuszność — myślał sobie Archy — Grinnell jest osadą purytańską wśród prerji.

Znajdował się na „placu kollegium". Brzydki budynek kamienny, czworograniasty, ciężki, zapewne owo kollegium, uzupełniał budynek z cegły, a otaczały go ładne dworki, w których musieli mieszkać profesorowie. Młodzieńcy i dziewczęta przechadzający się pod drzewami, to zapewne studenci. Pierwsi wydawali mu się trochę ordynaryjnymi, ale między dziewczętami dużo było bardzo ładnych, a wesołość ich udzielała się nawet przechodniom.

— Ani jedna z nich — myślał sobie Archy — nie może iść w porównanie z moją Rachelą... Ah! to właśnie ich dom!

Płyta na drzwiach nie pozwalała mu wątpić o tem. Dom był drewniany, dwupiętrowy, malowany na szaro, z czerwonemi okiennicami. Przed domem ogródek pełen róż kwitnących. Archy uczuł zawrót w głowie. Nie widział Racheli od ośmiu dni, a że to był chłopiec uczciwy, skromny i zakochany, więc w myśli korzył się przed tą wątłą a promienną istotą, którą zdobyć powziął zamiar zuchwały.

— Moja biała różyczko — szeptał — nie jestem godzien ciebie, ale będę się starał!...

— Czemuż pan nie zadzwonisz! Przecie dzwonek jest od tego! — odezwał się szorstko ktoś tuż za nim, basem głębokim.

Jakiś mężczyzna wyszedł z za węgła, i zastał Archy'ego uśmiechającego się czule do drzwi domu.

Był to ten sam, z którym rozmawiał przed rokiem!

— Pragnę złożyć moje uszanowanie panu Jaredowi Meadowes — odezwał się Archy, któremu serce uciekło w pięty.

— Ano, to ja nim jestem!

Archy jęknął w głębi duszy, ale ukłonił się i rzekł:

— Jestem kapitan Barris.

— Proszę — rzekł Meadowes otwierając drzwi, ale na twarzy jego nie widać było śladu uprzejmości.

Wszedł pierwszy. Jak przed rokiem, był bez surduta; zdjął nawet trzewiki, a jego białe skarpetki błyszczały w ciemności przedsionka. Archy wszedł za nim do ładnego salonu i usiadł na wskazanem krześle. Stary usiadł naprzeciw niego, ręce oparłszy na kolanach, w pozycji, jaką przybierają wieśniacy do fotografii, i z miną surową zaczął rozpatrywać się w swoim gościu od stóp do głów. Stanowczo przyjęcie nie było obiecujące.

Niepodobna przypatrywać się bez końca, w milczeniu, nawet przyszłemu teściowi; więc Archy odchrząknął i zaczął od tego, że panu Meadowes wiadomy jest zapewne cel jego odwiedzin.... Poznał miss Meadowes u jej przyjaciółki miss Ramsay...

— Przed sześcioma tygodniami nie widziałeś jej pan nigdy w życiu — przerwał mu stary — a teraz chcesz się z nią żenić.

Zmieszany nieco Archy, próbował przedstawić swoje położenie i swoją przyszłość. Oświadczył więc, że służy w armji; że został odkomenderowany do arsenału na Rock Island...

— Wiem, wiem — rzekł pan Meadowes — znam tę wyspę. To wielki arsenał; ale obecnie chciałbym wiedzieć coś o panu.

— O mnie? Mam lat dwadzieścia ośm; ojcem moim był generał Barris, który zginął na polu bitwy. Jesteśmy rodziną żołnierską. Matka moja pochodzi z Massachusetts, miss Sallonstal z domu.

— Pan ją utrzymujesz?

— Ojciec zostawił jej około pół miljona dolarów. Mam siostrę zamężną w Nowym Yorku, która także nie potrzebuje mojej pomocy. Matka mieszka przy mnie. Wszyscy szanują ją i kochają...

— Rachela w żadnym razie nie zaślubi pańskiej matki. Ja wolałbym, żebyś mi pan powiedział coś o sobie. Ramsay pisał mi o panu; chwali pana bardzo, ale on i ja nie zupełnie zgadzamy się w naszych poglądach na rzeczy. Pan jesteś zapewne w oczach tak zwanego „świata“ partją wielce pożądaną; ja nie należę do tego świata i nigdy doń nie należałem. Pan nie jesteś mężem, jakiego jabym wybrał dla mojej córki, ani pańskie życie takiem, jakiego pragnąłbym dla niej. Ale to nic nie znaczy! jeżeli pan jesteś uczciwym chłopcem, który ją uczyni szczęśliwą, nie będę się sprzeciwiał. To natura zapewne chce tego. Niegdyś ja uprowadziłem jej matkę do Kanzas, daleko od rodziny; dziś pan chcesz zabrać moją córkę, ona się zgadza na to; ale natura nie chce, żeby ofiarowanie jej panu w podarku, sprawiało mi przyjemność. A możebyś pan został na obiedzie, żebym miał więcej czasu wymacać pana trochę? Potem, jeśli mi się pan spodobasz, udam się do Rock-Island, a jeśli zasięgnięte wiadomości będą dobre, będziemy mogli pomówić o małżeństwie.

— Zgoda, zostanę na obiedzie — rzekł Archy z uśmiechem.

Bronzowa twarz gospodarza nie rozjaśniła się ani trochę w odpowiedzi na ten uśmiech.

— A więc dobrze — rzekł. — Proszę, bądź pan jak we własnym domu. Ja pójdę uprzedzić moją rodzinę.

Archy pozostał sam, w stanie umysłu, w którym gniew walczył z chęcią do śmiechu i konsternacją. Od śmiechu nie mógł się powstrzymać, wyobrażając sobie przerażenie swojej matki na widok Meadowesa. — „Ostatecznie, nie mogę mu mieć za złe, że się nie chce pozbyć Racheli“ — myślał sobie Archy, szukając do koła siebie śladów jej ręki i ducha. Odgadł z łatwością, że harmonijne barwy boazeryj i obić, ładne mebelki fantazyjne, pochodziły z jej wyboru; tak jak nie wahał się przypisać złemu smakowi ojcowskiemu obecność gipsowej grupy, wyobrażającej „Podpisanie dekretu emancypacji“, oraz ogromnej wyblakłej ryciny: „Linkoln, na łonie swojej rodziny“.

Nad kominkiem wisiał portret akwarelowy, w bogate ramy oprawny, a pod nim, niby na ołtarzu, stał wazon z różami. Był to portret mężczyzny, którego rysy, czoło, kontury twarzy, starannie wygolonej, przypomniały Archemu niezliczone popiersia watykańskie, o wyrazie spokojnym, ale stanowczym; ale tylko oczy niebieskie były łagodne, smutne, marzące.

Archy przypatrywał się temu portretowi, gdy wtem weszła rodzina, składająca się z Racheli, dwóch jej braci i z jej przyszłej macochy, miss Baker, którą przedstawiła Archemu. Miss Baker była bardzo podobna do Racheli nie tyle z twarzy, ile z postawy i ruchów. Wzrok Archego tylko na chwilę, przez grzeczność, spoczął na niej, poczem zwrócił się na Rachelę. Porównywał on ją często z dzikiemi kwiatami, rosnącemi w rozpadlinach skał Nowej Anglji. Nadzwyczajna jej piękność miała ten typ powiewny, którego wdzięk leży w jego subtelności. W rzeczywistości cieszyła się ona zdrowiem wybornem, była zadowolona ze swego losu, a ojciec jej był dumny z jej postępów w matematyce na uniwersytecie grenelskim. Ale wpatrując się w tę śliczną, bladą twarzyczkę, w te oczy melancholiczne, w usta rozkosznie drżące, czuło się mimowolnie ogarniającą sympatję. Matka Archy'ego tłómaczyła to wzruszenie w ten sposób:

— Ta dziewczyna, gotowa pozwolić złamać sobie serce.

Dla takich istot czuje się zwykle wielką pobłażliwość; a jednak mają one pewną siłę. Rachel była pełną wdzięku, gdyż inną być nie mogła, i ponieważ posiadała instynkt piękna.

Za zbliżeniem się tej istoty wybranej, Archy doświadczał uczucia tkliwej dumy. Biała sukienka i kilka róż czerwonych u pasa — nic więcej. Ale jak jej ślicznie było w tym prostym stroju!

Usiadł i uśmiechał się niesłychanie uprzejmie do dwóch młodzieńców, Jareda i Ossawatomie. (Co za imię?! — myślał sobie Archy. — Chyba jakiegoś wodza indyjskiego!) Byli to bliźniacy, o dwa lata młodsi od Racheli, wysocy, szczupli, bojaźliwi, z ciemnemi oczyma i pięknemi włosami siostry, ale z rysami ojca, nieco złagodzonemi. Jared nie otworzył ust; Ossie próbował parę razy nieśmiało. Chcąc podtrzymać upadającą rozmowę, Archy zaczepił o akwarelę, która go intrygowała.

— Ten portret — odezwał się Ossie — to jest John Brown.

(C. d. n.)

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.